



BĘDZIEMY ZA WAS ZACISKAĆ KCIUKI.

POSTARAMY SIĘ NIE ZAWRĘC NASZYCH KABCÓW.



ROZPETALIŚMY PRAWDZIWĄ HISTERIĘ!

TU CHODZI O NASZ HONOR! MUSIMY WYGRAĆ!!!

CZY TO FAIR WOBEC POLAKÓW?



POLACY TRENUJĄ NA BOISKU W LONDYNIE.

POZWOLILI NAM TYLKO NA JEDEN TRENING NA WEMBLEY.

WYTRZYMACY I TO, PODOBNIÉ JAK NAPAŚCI PRASY.



MÓWI SPIKER BBC...

POLACY NIE PRZEDSTAWIĄ ŻADNEJ WARTOŚCI!!!

UDAŁO IM SIĘ W CHOROZWIÉ, ALE TERAZ TRZEBA IM DAĆ DOBRĄ NAUCZKĘ.



ROZPOCZYNA SIĘ WIELKI MECZ!

PAHIETACIE! NAM WYSTAROCZY TYLKO REMIS!

Wojciech

JAKUB PAPUCZYŚ

MISTRZOSTWA ŚWIATA W PIŁCE NOŻNEJ W RFN W 1974 ROKU A POLSKA „NOWOCZESNOŚĆ” DEKADY GIERKA

Piłkarski mecz na stadionie Wembley w Londynie, rozgrywany w ramach eliminacji do X Mistrzostw Świata, które odbyły się w 1974 roku w RFN, bez wątpienia jest najważniejszym i najsilniej obecnym w zbiorowej świadomości wydarzeniem w historii polskiego sportu. Jego ranga i znaczenie wykroczyły niemal natychmiast poza przestrzeń czysto sportową, a samo wydarzenie zamieniło się w ogólnonarodowy mit. Właśnie w ten sposób charakteryzuje to piłkarskie spotkanie Marek Bieńczyk:

Każdy urodzony przed rokiem mniej więcej 1965 ma o tamtym jesiennym wieczorze swoją mityczną opowieść. Jedną z tych opowieści, które utrzymują naród we wspólnocie, leczą lub haratają mu podświadomość, usensowniają przypadkową na co dzień obecność między Tatrami a Bałtykiem. Opowieść o meczu na Wembley (powinno się je wszystkie spisać, póki my żyjemy) należy do tego samego muzeum polskiej wyobraźni, co sny o Niemcach (czas temu nam odpuszcili) czy wspomnienia o nocy 13 grudnia. Tyle że wówczas udało się wnieść do zbiorów upojenie, nie koszmar. Dzięki naszym chłopakom! Złotej Jedenastce! (Bieńczyk, 2012, s.50).

Bieńczyk nie tylko uwypukla znaczenie tego spotkania dla konstruowania i przededefiniowywania polskiego narodowego imaginarium, ale pokazuje, że ten mecz i wszystkie zbiorowe narracje, które przez lata się wokół niego wytworzyły, stanowiły ważny przykład zbiorowych i jednostkowych dramatyzacji, pozwalających ująć społeczną egzystencję w określone tożsamościowe ramy. Mecz na Wembley i późniejsze mistrzostwa oraz sposób i praktyki ich kulturowego odbioru stanowiły więc rodzaj społecznych dramatyzacji, jeśli rozumieć je jako:

Nie tylko efekty specjalnych praktyk artystycznych wymagających określonej wiedzy, umiejętności, czasu i miejsca, lecz sposób istnienia, ramy, w których nasza egzystencja pojawia się i trwa w zmienności. Dramat/przedstawienie na najbardziej podstawowym poziomie rozumiem jako indywidualny lub zbiorowy proces, w efekcie którego bycie zostaje

jednocześnie uporządkowane według określonego wzoru (zdratyzowane) i dane do potencjalnego oglądu (przedstawione, czyli stawione przed) (Kosiński, 2010, s. 16).

Bieńczyk dostrzegł więc w tym wydarzeniu coś więcej niż tylko formę masowej rozrywki czy sportowej rywalizacji, niemającej pozornie nic wspólnego z „prawdziwym życiem”. Zresztą w takim sposobie jego postrzegania nie jest osamotniony. Jerzy Pilch uważa, że było to wydarzenie o istocie i zakresie społecznego oddziaływania mogących równać się ze słynną pielgrzymką Jana Pawła II do Polski w 1979 roku, co zresztą twórczo i metaforycznie przetworzył w dramacie *Narty Ojca Świętego* (Pilch, 2004, s. 161-165). Mecz na Wembley w poczet polskich mitów zaliczają nawet osoby, które nie są zapalonymi piłkarskimi kibicami, i co ciekawsze, czynią to w książkach o tematyce niemającej ze sportem nic wspólnego. Elżbieta Janicka w ważnej i szeroko dyskutowanej pracy *Festung Warschau*, we fragmencie, w którym stara się krytycznie zredefiniować polskie zbiorowe „my”, zastanawia się nad najbardziej zneutralizowanymi i uwewnętrznionymi narodowymi mitami, które w ściśle określony sposób profilują zakres naszej zbiorowej percepcji, wpływając na to, co jest społecznie widzialne, a co poza obszar tej widzialności wykracza, tak podsumowuje swoje rozważania:

Przechodzimy w tym zakresie intensywny trening. My, którzy wygraliśmy pod Grunwaldem, pod Somosierrą, na Wembley. Trening warunkujący. Żeby można było patrzeć i nie widzieć. Żeby można było słuchać i nie słyszeć. Żeby można było wiedzieć i nie przyjmować do wiadomości. I życie przeżyć w ten sposób (Janicka, 2011, s. 86-87).

Mecz na Wembley stał się mitem jeszcze przed jego rozpoczęciem:

Kibice i to nie tylko piłki nożnej pracujący w ZBP Budostal w Krakowie przekazali 240 zł na „konto odbudowy Pomnika Grunwaldzkiego” wraz z listem, w którym wyrażają nadzieję,

że ich dar „zmobilizuje [...] naszych piłkarzy do podobnego zwycięstwa nad Anglią, jakie Jagiełło odniósł nad Krzyżakami” („Echo Krakowa”, 16 X 1973).

Co się jednak pod tak ustanowionym mitem kryje? Dlaczego Polacy zarówno wówczas, jak i obecnie, tak bardzo go potrzebowali? Jakiej rejonowej narodowej świadomości mit ten wykorzystywał, utwierdzał czy zmieniał? W jaki sposób odbija on i kształtuje obraz nas samych jako narodowej wspólnoty?

Pytania te są ważne, ponieważ im bardziej samo źródłowe dla mitu wydarzenie odsuwa się w czasie, tym bardziej wzrasta moc jego oddziaływania. Widać to już w przywoływanych powyżej współczesnych interpretacjach tego wydarzenia. Wynika z nich jasno, że mecz na Wembley był wydarzeniem jednoznacznie afirmatywnym, jednoczącym, pozwalającym przełamać tak silnie obecne w tamtych latach poczucie niemocy, beznadziei, smutku i obojętności. Na pierwszy rzut oka jest to całkowicie zrozumiałe. 17 października 1973 roku na stadionie Wembley w Londynie polska drużyna narodowa zremisowała 1:1 z mocno faworyzowaną reprezentacją Anglii, mistrzami świata sprzed siedmiu lat, uważanymi wtedy za wielką futbolową potęgę. Był to dla obu drużyn mecz o wszystko, ponieważ ten „zwycięski remis” zapewnił nam udział w mistrzostwach (po trzydziestosześcioletniej przerwie i po raz pierwszy w okresie powojennym), eliminując z tej imprezy naszych przeciwników. Co więcej: mistrzostwa, na które dał nam przepustkę, zakończyły się równie historycznym zdobyciem przez naszych reprezentantów trzeciego miejsca, powtórzonego jeszcze raz na mundialu w Hiszpanii w 1982 roku (tymczasem drużyna ta zdobyła jeszcze srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu). Sam mecz na Wembley stał się więc wydarzeniem założycielskim „złotego okresu” polskiej piłki nożnej, w którym to fantastyczne „Orły Górskie” grały jak równy z równym z największymi piłkarskimi potęgami. Nic więc dziwnego, że przy późniejszym braku sukcesów i wciąż postępującej indolencji w grze naszych piłkarzy okres ten jest charakteryzowany przez coraz bardziej mityczne i nostalgiczne narracje.

A jednak to wyjaśnienie, choć niewątpliwie prawdziwe, wydaje mi się najprostsze i najbardziej powierzchowne. Dlatego chciałbym spróbować spojrzeć na ówczesne piłkarskie sukcesy z innej nieco perspektywy, a w samym micie poszukać luk i pęknięć, które, być może, odsłonią głębsze i bardziej złożone przyczyny jego narodzin oraz dalszego funkcjonowania. Jeśli potraktujemy zarówno mecz na Wembley, jak i późniejsze mistrzostwa, jako rodzaj kulturowych performansów, określanych przez Johna MacAloona jako „chwile, w których jako kultura bądź społeczeństwo podejmujemy refleksję nad samymi sobą i definiujemy samych siebie, odgrywamy nasze wspólne mity i naszą historię, przedstawiamy alternatywne wersje samych siebie czy też zmieniamy się pod pewnymi względami, by pod innymi pozostawać tacy sami” (MacAloon, 2009, s. 12), to wówczas możemy uznać tego rodzaju sportowe zawody za znamienne, węzłowe dla kultury momenty,

w których wyrażały się i poprzez które ustanawiały się złożone konstrukty syntetyzujące doświadczenia, sposoby myślenia i działania, emocje, wartości, symbole oraz ideologie tego okresu. Mówiąc bardziej konkretnie: perspektywa ta umożliwiła mi zastanowienie się nad tym, jak te mistrzostwa rzutowały na kulturowy i psychologiczny stan społeczeństwa w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. W jaki sposób wykorzystywały, przeddefiniowały oraz ustanawiały polskie społeczne imaginarium? Jakiej świadome i podświadome – by posłużyć się określeniem Stephena Greenblatta – energie społeczne uaktywniły? Jednym słowem: co tamta piłkarska seria przedstawień opowiedziała nam o nas samych wtedy – i co mówi nam obecnie?

Zacznijmy od tego, że pomimo ogromnego sukcesu, jakim był niewątpliwie wynik na Wembley, zadziwia sceptycyzm i strach panujący wśród rodaków jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Oczywiście, Anglia była wówczas jedną z najlepszych drużyn na świecie, prowadzoną na dodatek przez legendarnego trenera, sir Alfreda Ramseya, jednak poziom niewiary w to, że Polska może wywieźć z Londynu korzystny wynik w kontekście jej wcześniejszych występów w tych eliminacjach jest zaskakujący. Przypomnieć należy, że to właśnie nasza reprezentacja po świetnej grze pokonała Anglików 2:0 w pierwszej rundzie eliminacji w Chorzowie, dlatego przed rewanżem do zapewnienia awansu wystarczał nam remis i to nasi przeciwnicy zostali przyparci do muru. Gdy jednak przegląda się prasę i materiały dokumentalne z tamtego okresu, to okazuje się, że niby wszyscy wierzyli, iż może się udać, jednak podświadomie przeczuwali klęskę, zaś sam awans był raczej fantasmagoryczne marzeniem. „Dziennik Polski” po meczu pisał, że „stało się to w co wierzyli tylko najwięksi optymiści” („Dziennik Polski”, 18 X 1973), na łamach „Sportowca” Jerzy Górzański przyznawał zaś wprost: „nie wierzyłem w sukces Polaków na Wembley” („Sportowiec”, 23 X 1973). Wielokrotnie wręcz podkreślano, że nawet jeśli nasi zawodnicy przegrają, to i tak osiągnęli już tak wiele, że nikt nie będzie miał do nich pretensji („Trybuna Ludu”, 14 X 1973). Nikt nawet nie wierzył, że Polacy z Anglikami mogą grać jak równy z równym, a naszą jedyną szansą miała być desperacka obrona i czekanie na łut szczęścia. Trener reprezentacji Kazimierz Górski zdradził:

Wielu kibiców przysłało mi listy, w których sugeruje takie czy inne ustawienie zespołu. Większość autorów przeróżnych wariantów skłania się do koncepcji żelaznej obrony i sporadycznych ataków... Naturalnie będziemy na Wembley bardzo starannie pilnowali własnej bramki, ale w żadnym przypadku nie możemy ograniczyć się tylko do obrony. Atak musi być naszą silną bronią („Sport”, 15 X 1973).

Nastroje te zwięźle podsumowuje anegdota opowiedziana przez reżysera Janusza Zaorskiego. W jednym z wywiadów wspominał on, że telewizja zaraz po meczu miała wyemitować jego najnowszy film, komedię *Łzy Łazarza*. Zarówno gatunek filmu, jak i jeszcze wymowniejszy tytuł mówią

w zasadzie wszystko – po przegranej Polakom trzeba było puścić coś na otarcie łez, pocieszyć ich obrazem, który szybko pozwoliłby zapomnieć o przewidywanej porażce i przezwyńczył zbiorowy narodowy smutek... (zob.: Zaorski, 2012, s. 479).

Być może dlatego ten remis i sukces bardzo szybko zaczął być traktowany w kategoriach cudu. Wygranej bardziej polskiego ducha niż materii, świadczącej o naszej narodowej wyjątkowości i niezłomności, ale niemającej większego wpływu na realną przemianę rzeczywistości czy choćby sportowego stanu rzeczy. Także sam przebieg meczu, podkreślana w niemal wszystkich prasowych i reportażowych materiałach z tamtego okresu, nadnaturalna postawa i dyspozycja bramkarza Jana Tomaszewskiego, „murowanie” bramki przez wszystkich graczy z pola oraz tyleż piękna, ile szczęśliwa kontra, zakończona „przebiegłym” strzałem z „fałsza” (w terminologii piłkarskiej jest to strzał zewnętrzną częścią stopy) Jana Domarskiego, potwierdzają to „cudowne” i mityczne wyobrażenie, jakże świetnie wpisujące się w szereg innych mitów, tak trwale zakorzenionych w naszym zbiorowym imaginarium. Jan Tomaszewski bardzo szybko przybrał w nim postać broniącego Jasnej Góry księdza Kordeckiego, a w finezyjnym i straceńczym wypadzie Domarskiego dopatrzono się oczywiście fantazji Kmicica (zob.: „Sportowiec”, 23 X 1973; *Polska gola*). Jeśli jednak ten mecz obejrzy się dzisiaj w całości, to okaże się, że tezy o ciągłych huraganowych atakach Anglików i rozpaczliwie spychanych do defensywy Polakach zdecydowanie mijają się z prawdą. Polacy pokazali, wbrew pozorom, mądry, wyrafinowany taktycznie futbol, z dobrze zorganizowanymi, groźnymi wypadami pod bramki Anglików. Oddajmy głos Janowi Ciszewskiemu:

Przed meczem Polska – Anglia na Wembley ziewałem bez przerwy, byłem ogromnie zdenerwowany. Już chciało mnie wycofać, że nie podołam. A jednak zrobiłem ten mecz. I chyba to była moja najlepsza transmisja. Później oglądałem ten mecz z siedem razy. I za każdym razem dostrzegam nowe wartości w grze polskiego zespołu. Im dłużej analizuję to spotkanie, tym rzadziej przychodzą mi myśli o obronie Częstochowy (cyt. za: Kołtoń, 2014, s. 164).

Mówił o tym zresztą zaraz po meczu Kazimierz Górski: „Nikt nie czekał na cud. Po prostu z żelazną konsekwencją, przy rzetelnym stosunku do swoich obowiązków wszystkich bez wyjątku, zawodników i trenerów, działaczy i osób współpracujących, doprowadzono do powstania zespołu, który osiągnął stawiany przed sobą cel” („Przegląd Sportowy”, 20-21 X 1973).

W meczu na Wembley widziano więc to, co chciało zobaczyć, albo na co pozwalały historycznie ukształtowane kody epistemologiczne. Nawet tak wielki, wydawałoby się, sukces był nieodłącznie podszyty naszą „naturalną” wręcz słabością, poczuciem „gorszości” i brakiem należytego docenienia. Potwierdza to kolejny, niezwykle ciekawy, fragment tekstu opublikowanego w „Dzienniku Polskim” sześć dni po meczu:

Polska znów stała się głośna, tym razem za sprawą sportowców. Trzydzieści parę lat temu uratowaliśmy Anglików przed totalną klęską, zwyciężyli polscy lotnicy w Bitwie o Anglię, broniąc brytyjskiego nieba przed hitlerowskim Luftwaffe. Dziś z tego nieba spłynął na wyspiarski kraj bezmiar goryczy, ale też, kiedy poszedł w zapomnienie wojenny wysiłek Polaków, nie szczędzili nam upokorzeń ci, za których krew przelewali nasi żołnierze [...]. W dzisiejszej polskiej wiktorii na Wembley jest cząstka owej satysfakcji, której brakło w latach czterdziestych [...]. Myśmy po prostu udowodnili, że Polska jest krajem, z którym trzeba się liczyć w każdej sytuacji („Dziennik Polski”, 23 X 1973).

Wyeliminowanie Anglików potraktowano jako wyraz dziejowej konieczności i sprawiedliwości. Sukces zawdzięczano losowi, który choć raz naprawił doznane przez nasz naród krzywdy. Nie mieściło się w naszej ówczesnej świadomości, że mógł być on wynikiem wielu miesięcy przygotowań i precyzyjnego planu sportowego rozwoju. Czym ten swoisty resentment wobec Zachodu był podyktowany? Dlaczego sukces naszych piłkarzy był odbierany z takim lękiem i odznaczał się tak wielką ambiwalencją? Mówiąc wprost: dlaczego Polacy po prostu nie chcieli wtedy uwierzyć, że pokonali profesjonalną reprezentację innego kraju w pełni zasłużenie, bo byli po prostu od nich piłkarsko lepsi?

Zacznijmy od tego podszytego dwuznacznością spojrzenia na Zachód, gdyż wydaje mi się ono ważnym czynnikiem determinującym odbiór tego meczu, ale ujawniającym też ówczesny stan naszej zbiorowej świadomości. Stawiam hipotezę, że w kontekście czasów, w których mecz na Wembley i późniejsze mistrzostwa się rozgrywały, tak wielki sportowy sukces, zwłaszcza na arenie międzynarodowej, stał się symboliczną namiastką „normalności”, której nasze społeczeństwo tak bardzo potrzebowało. Znakiem i utwierdzeniem cywilizacyjnego skoku, w który tak usilnie pragnęło uwierzyć. Jak pisał na łamach „Sportowca” Jerzy Górzeński: „Siła polskiej piłki nożnej w moim przekonaniu polega na wyjściu z głębokiego prowincjonalizmu w jakim myśmy tkwili. Piłka weszła do europejskiego, światowego obiegu” („Sportowiec”, 30 X 1973).

Tego rodzaju wyobrażenie, z którym wiązano piłkarski sukces i zmianę całego stylu gry oraz funkcjonowania naszej piłki nożnej, było pożądanym równocześnie przez władzę i obywateli. Edward Gierek, który zastąpił Władysława Gomułkę na stanowisku I sekretarza PZPR po krwawych wydarzeniach Grudnia 70', doskonale wiedział, że aby rozładować społeczne emocje i uzyskać mandat poparcia dla dalszego rządzenia, musi sprawić, by Polacy jak najszybciej uwierzyli w poprawę jakości życia i poziomu cywilizacyjnego. Sukces na Wembley i rozegranych w rok po nim mistrzostwach świata wydawał się do tego celu idealny. Nie chodzi mi tu jednak o prosto rozumianą i wielokrotnie opisywaną „propagandę sukcesu”, której sport był, oczywiście, niezwykle ważnym elementem. Transmisja pomiędzy wykorzystaniem sportu do oficjalnej, komunistycznej propagandy a nastrojami społecznymi

i oddolnymi wyobrażeniami na temat występów naszych piłkarzy była dużo bardziej złożona i skomplikowana. W odniesieniu do mistrzostw w RFN i polskiej modernizacji można powiedzieć, że jeden mit wspierał kolejne, te ustanowione przez władzę, jednocześnie, paradoksalnie, odsłaniając nieświadomie bolesną rzeczywistość, która się pod nimi kryła.

Kredyty zaciągane na Zachodzie, by skokowo nadrobić zapóźnienia procesu modernizacji i industrializacji kraju oraz zapewnić społeczeństwu konsumpcję na niespotykaną dotychczas w Polsce Ludowej skalę i pozwolić na odczucie realnej poprawy jakości życia, były bowiem równie mityczną namiastką normalności. Gierkowska „normalizacja”, jak każdy przeprowadzany skokowo, a nie systemowo i stopniowo rozłożony w czasie, proces cywilizacyjny, rozbudzała więc aspiracje, jednocześnie odsłaniając wszystkie braki tak modernizowanej rzeczywistości.



Już sam system zaciąganych kredytów był właściwie mechanizmem *stricte* kolonizacyjnym. Nie chodzi nawet o to, że na najprostszym poziomie uzależniał finansowo nasz kraj od państw znajdujących się po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Kredyty umożliwiające tak radykalny konsumpcjonizm wymagały jednoczesnego zwiększenia importu produktów z zagranicy, co w oczywisty sposób obnażało słabość produktu krajowego. Kredyty licencyjne zaś, służące zakupieniu technologii wdrożonych na Zachodzie i dostosowywaniu ich do polskich realiów, jeszcze mocniej potęgowały i uwewnętrzniały poczucie niższości (zob.: Rolicki, 2002, s. 197-200). Mówiąc inaczej: produkowane na zagranicznych licencjach produkty były „prawie takie same, ale nie całkiem” jak te oryginalne, zachodnie, co chyba najlepiej uwidoczni się w nazwie najpopularniejszego samochodu tamtego okresu, czyli „małego fiata”.

Dlatego nawet oficjalnie z polskiej słabości, umiejętności radzenia sobie z tym, co mamy, wykorzystywania naszego

sprytu i fantazji próbowano uczynić atut, dowartościować te cechy. Świadczy o tym chociażby wiele pochodzących z tego okresu Polskich Kronik Filmowych, które były narzędziem komunistycznej propagandy. Przywołam dwie, moim zdaniem emblematiczne, pochodzące z początku i z końca dekady, aby uświadomić, jak trwały był ten paradygmat. Pierwsza, dotycząca motoryzacji, przedstawia pioniersko wyprodukowany „chałupniczym” sposobem samochód. Jak podkreśla lektor, pojazd ten „całkowicie rodzimej produkcji” w niczym nie ustępuje tym produkowanym na licencji zachodniej:

Wóz w deseczkę, twierdzą opolanie. Istotnie, karoserię wozu koncern Buchtów wykonał z płyt pilśniowych. Silnik i podwozie ze starej skody, tapicerka i deska rozdzielcza produkcji własnej. Buchtowie wyprodukowali dopiero jeden egzemplarz, ale jeśli dyskusja o motoryzacji okaże się jałowa, zrobią następny. Płyt pilśniowych mamy przecież pod dostatkiem (*Głos w dyskusji*).

Drugi przykład dotyczy przewycięzania problemów hodowli trzody chlewnej, wynikających z braku materiałów i środków do budowy murowanych chlewni. Jednak, jak głosi narracja w kronice filmowej, nie jest to dla naszych rolników problem, gdyż „rysuje się możliwość zastosowania w tym celu namiotów z folii”, które swoją praktycznością i funkcjonalnością niemal nie ustępują bardziej trwałemu pierwowzorowi (*Pod folią*).

Podają te przykłady, bo choć analogia wydaje się na pierwszy rzut oka odległa, to strzał Domarskiego w meczu na Wembley został na podobnej zasadzie powiązany z podstępem Kmiecica i naszymi praktykami kształtowania oraz doświadczania rzeczywistości:

[...] to może właśnie bramka Domarskiego w meczu najważniejszym, dla mitu założycielskim, stała się obrazem tamtych dni: golem-nikiforem, strzałem normalnie nie do wyobrażenia, a jednak dziwnym trafem nieobronionym. Domarski strzelił, do siatki trafiła cała Polska: trochę sposobem, trochę pod spodem, jak to my (Bieńczyk, 2012, s. 52).

Krótko podsumujemy: w ten sposób poczucie braku, wzmocnione przez sytuację socjalno-ekonomiczną, przenosiło się na inne pola, które teoretycznie miały je maskować i kompensować. Sport, jak starałem się pokazać, jest na to dobrym przykładem. Świadomie wzmacniał poczucie dumy narodowej, a jednak podświadomie obnażał nasze kompleksy. Rozbudzał aspiracje, a jednocześnie generował lęk, że nigdy nie zostaną one zaspokojone. Wzmacniał poczucie, że sukces i wynikająca z niego satysfakcja jest w naszym przypadku czymś raczej szczególnym i wyjątkowym, niż trwale dającym się wpisać w doświadczenie przez nas rzeczywistości. Uruchamiał proces odwoływania się do tradycji, do silnie zakorzenionego w polskiej świadomości przeświadczenia o wyjątkowości naszych zwycięstw, wynikających z ambicji

i waleczności, ale nieprzekładających się na realne i pragmatyczne korzyści. Krótko mówiąc, ten „cud” wpisać można w serię innych historycznych cudów, bo nasze zwycięstwa we wszelkich potyczkach zawsze były właśnie takie, nadzwyczajne, bo przyzwyczajeni byliśmy do klęsk, które za pomocą rozmaitych kulturowych procesów przekształcane były w coś pozytywnie kształtującego naszą tożsamość. W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, jak starałem się pokazać, tak skonstruowane poczucie wyjątkowości wzmacniało jednak podskórnie świadomość kolonialną, nie tylko wobec ZSRR, ale również (a może przede wszystkim – gdyż poczucie zależności od wschodniego suwerena było raczej odczuwane jawnie i wprost) krajów zachodnich.

Udowodnił to nie tylko mecz na Wembley, ale również sam przebieg i odbiór mistrzostw w 1974 roku, zarówno w czasie ich trwania, jak i po zakończeniu. Potwierdza to choćby fakt, że mimo wyeliminowania Anglików i wyjścia z bardzo trudnej grupy eliminacyjnej, nastroje społeczeństwa związane z występem naszej kadry na mistrzostwach były wciąż, delikatnie mówiąc, sceptyczne i przesiąknięte przeświadczeniem przyszłej porażki i kompromitacji. Najlepiej świadczy o tym sonda uliczna, zrealizowana przez Telewizję Polską tuż przed tym wydarzeniem. Przytoczę jedną, za to bardzo wymowną, odpowiedź na pytanie o szanse naszych piłkarzy w RFN: „Wie pan co? Oni nawet od tych czarniawych Haitańczyków dostaną!” (*Polska gola*). Oczywiście, ten sceptycyzm można uzasadnić naturą kibica piłkarskiego, jego skłonnością do czarnowidztwa. W tym przypadku chodziło jednak o głęboką strukturę poczucia narodowej wartości i tego, że pewnych rzeczy jako zbiorowość nie byliśmy w stanie włączyć do naszych powszechnych wyobrażeń. Dobrze oddaje to dyskusja przeprowadzona na łamach „Sportowca”, której tematem były, najogólniej mówiąc, nasze szanse na niemieckich mistrzostwach w warunkach, jakimi dysponuje krajowy sport i piłka nożna:

Jerzy Gorczański: Po czym jedziemy do Londynu i jakiś facet przynosi nam torbę pełną korków, w których można grać na Wembley, a które to buty są normalnie dla nas nieosiągalne. Co by było z polską piłką nożną, z naszą reprezentacją, jeśli mieliby takie warunki jak Anglicy? Jeśli po przyjeździe do Londynu Polacy nie musieliby mieszkać w marnym hotelu, położonym daleko od stadionu Wembley i boiska treningowego? Jeżeli wszystko mieliby zorganizowane jak najlepiej?

Michał Sprusiński: Ja sobie takiej sytuacji nie wyobrażam i proszę nas o to nie pytać, ponieważ takiej sytuacji jak dotychczas nie było, ponieważ sytuacja jest nam tak dalece nieznana, że nie możemy jej sobie wyobrazić. Wyobraźnia Polaka tak daleko nie sięga, gdyż w ciągu trzydziestu lat nie stworzono możliwości odskoczni, chociaż jednej. [...] Nie będzie takiej sytuacji, że nagle my spotykamy się za rok i mamy brązowy medal, po czym sobie opowiadamy o fatalnych szatniach, brudnych stadionach, niedouczonych trenerach itd., itd., ponieważ jeśli nic się nie zmieni w tzw.

bazie, to tego medalu po prostu nie będzie. Nie ma na to sposobu. Są pewne pułapy szaleństwa desperacji („Sportowiec”, 30 X 1973).

Ironia historii polegała na tym, że mimo wszystko udało nam się zdobyć medal. Ale nieświadomie profetyczny Michał Sprusiński pomylił się w innej sprawie. Bo choć w trakcie mistrzostw cały świat zachwycał się naszym nowoczesnym stylem gry i zaawansowaniem taktycznym, to granice polskiej wyobraźni okazały się jeszcze bardziej szczelne, niż przewidywał. Oczywiście, euforia po zdobyciu medalu była już powszechna i niezaprzeczalna, jednak była to radość nie tylko chwilowa, ale raczej utwierdzająca polskie anachroniczne mity i wyobrażenia, niż pozwalająca je w jakiś sposób przepracować czy zmienić. Zauważył to w *Kalendarzu i klepsydze* Tadeusz Konwicky, który tak na gorąco opisywał społeczną recepcję mistrzostw:

Przez trzy tygodnie cały naród od osesków do zramolałych starców ślęczał przy telewizorach. Każdy zwycięski mecz podwajał sytość samopoczucia polskiego. W końcu nawet stare wiedźmy, w których jedynym sportem była dotychczas jazda na miotle, te wyalienowane babska zaczęły domagać się od naszej drużyny złotego medalu. Skończyło się jednak tylko na srebrnym i trzecim miejscu, ale jak to u nas zwykle – pocieszano się moralnym zwycięstwem. Bo też, jak to u nas, zdarzyły się przeciwności losu, do których nawykliśmy [...] A więc zwycięstwo absolutne, ale jakby nie do końca. A więc zwycięstwo fizyczne, ale jakby bardziej duchowe. Więc niby wszystko jak zawsze po polsku (Konwicky, 2005, s. 201).

Rozszerzenie i ukonkretnienie tego poglądu możemy znaleźć również na łamach „Literatury”, w której Konwicky wraz z Dygatem i Holoubkiem na bieżąco komentowali tamten mundial. Konwicky mówił, że w sposobie gry naszych reprezentantów najbardziej zaskakuje go element „dorosłości” w znaczeniu nadanym mu przez Gombrowicza. Do tej pory nasi gracze, powodowani różnymi kompleksami oraz niewiarą we własną dojrzałość i umiejętności, ale walcząc heroicznie i ofiarnie, czasem spektakularnie wygrywali, ale częściej irytująco przegrywali (por.: Dygat, Holoubek, Konwicky, 2012, s. 33-34). Mamy więc tutaj przejście od wyobrażenia Polski w jej wymiarze martyrologiczno-męczeńskim, choć – według Gombrowicza – głupim, do świadomości charakteru dojrzałego, bardziej racjonalno-nowoczesnego, umiejącego oceniać swoją sytuację głębiej i bardziej pragmatycznie. Konwicky zauważył, że choć Polacy swoją realną grą, stylem, postawą i organizacją należą do nowoczesności, to i tak my, jako społeczeństwo, odbieramy ich grę w kategoriach utwierdzonych wyobrażeń i tradycyjnych mitów. Mistrzostwa nie zmieniły zatem, mówiąc nieco górnolotnie, paradygmatu myślenia o narodzie i jego charakterze. Tkwiliśmy wciąż w paradygmacie, w którym porażka i słabość wzmacniała poczucie naszej wyjątkowości, a zwycięstwo moralne było ważniejsze od jakiegokolwiek

pragmatyki. Jeszcze dobitniej i niezwykle ironicznie ujął to Stanisław Dygat, który zrywał się na fakt, że nikt w naszym kraju nie potrafi dostrzec w futbolu żmudnej pracy, dobrego przygotowania, mądrej taktyki czy stałych umiejętności nabywanych latami (a więc owej bazy wspomianej wcześniej na łamach „Sportowca” i według kryteriów profesjonalnego zawodu, którym sport poza blokiem wschodnim już wówczas był):

Kiedy myślę o tym zdarzeniu, pojawia się przed moimi oczami jakby apoteoza w stylu polskich prymitywów ludowych z dodatkiem Grottgera: rozpaczliwie broniący się polscy gracze pod bramką. Tomaszewski fruujący nad ich głowami, jak Archanioł, i wylapujący piłki w sposób nadprzyrodzony. Potem z bohaterką determinacją, w odpowiedzi na ucisk i przemoc, nagle przejście do zuchwałego ataku. Wróg, przerażony i zdumiony niezmierną siłą drzeżdzącą w tym Narodzie, rzuca się do ucieczki. Zwycięstwo! Krzyki mężczyzn. Płacz kobiet. Dźwięki *Warszawianki* (Dygat, 1979, s. 31).

Futbol w tamtym okresie miał stać się w pewnym stopniu mechanizmem powierzchownie leczącym nasze kompleksy, afirmatywnym mitem mającym w bardzo prosty sposób pokazać, że jesteśmy od innych lepsi i bardziej wyjątkowi. Przedstawieniem, mającym przykryć braki spowodowane przeprowadzaną naprędce, równie powierzchowną i, jak się później okazało, złudną modernizacją. Zamaskować polską „niedojakość” – Justyna Jaworska, analizując kino pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, uważa, że ten neologizm najlepiej charakteryzuje polską obyczajowość tamtego okresu. W jej rozumieniu, termin ten miałyby oznaczać permanentne odchylenie od normalności, charakteryzować kraj, w którym wszystko trzeba było nieustannie naprawiać, nadrabiać i podrapiać. Stan mentalności, charakteryzujący się poczuciem odstawania od Zachodu, przy coraz powszechniejszej znajomości zachodnich wzorców (zob.: Jaworska, 2015).

Mechanizm jednoczesnego maskowania i odsłaniania tego kompleksu klarownie potwierdza wydany niespełna rok po zakończeniu mundialu komiks *Od Walii do Brazylii*. Przypominam, że Polska, występująca na tej imprezie po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej, zdobyła trzecie miejsce i srebrny medal, pokonując takie piłkarskie potęgi jak Włochy, Argentyna czy Brazylia, na siedem meczy przegrywając tylko jeden – z gospodarzami turnieju, późniejszymi mistrzami świata. Na pierwszy rzut oka w tym komiksie nie ma nic dziwnego: poprzez użycie popularnego i masowego medium buduje on prostą, zdawałoby się, narrację pozwalającą jeszcze raz przeżyć wszystkie piękne i dramatyczne chwile, których dostarczyła nam gra naszych piłkarzy. Jednak jeśli przyjrzymy się dokładniej, okaże się, że narracja ta nie jest wcale neutralna. Przenikliwie i z właściwą sobie ironią uchwycił to Stanisław Barańczak w znanym zatytułowanym tekście *Nie będzie Neeskens pluł nam w twarz*:

Komiks *Od Walii do Brazylii* kładzie nareszcie kres haniebnemu zakłamaniu, jakie szerzyło się przez długi czas w naszej prasie sportowej i codziennej. Chodzi oczywiście o piłkę nożną. Wszyscy przecież wiemy, że nasi chłopcy – aż wstyd powtarzać takie oczywistości – są najlepsi, najszlachetniejsi i najpiękniejsi, natomiast przeciwnicy bezustannie ich faulują, sędziowie (przeplaceni w twardej walucie) krzywdzą decyzjami, prasa zagraniczna opluwa, nawet deszcz jak spadanie, to nam przeszkadza bardziej niż przeciwnikom. [...] Po przegranym meczu z RFN nawet niemiecka prasa musi o nas napisać jako o „moralnych zwycięzcach”. Takie momenty rodzą w nas wiarę w humanistyczny sens sportu, dzięki któremu nawet takie bydle, jak piłkarz przeciwnej drużyny potrafi się uczłowieczyć na tyle, aby dostrzec, że nasi chłopcy to po prostu nadludzie (Barańczak, 2012, s. 44).

Barańczak pokazał, że komiks miał rozładować polski kompleks niższości przez przedstawienie naszej drużyny oraz polskiego narodu jako herosów, którzy przewyższają swoich przeciwników nie tylko na płaszczyźnie czysto sportowej, ale również moralnej, umysłowej i kulturowej. Polscy piłkarze komentują swoje poczynania w trakcie gry w isticie filozoficznych sentencjach, nie reagują na niesportowe zaczepki przeciwników, potrafią również przenikliwie dostrzec ukryte zasady, rządzące kapitalistyczną rzeczywistością („nie można tego meczu odwołać, organizatorzy straciliby zbyt dużo pieniędzy”). Nawet przeciwnicy, widząc niezaprzeczalne piękno ich gry, muszą uznać wyższość i wyjątkowość naszych piłkarzy („Ten Deyna to jednak wspaniały zawodnik”). Komiks ukazał się niespełna rok po mistrzostwach, rozszedł się błyskawicznie w nakładzie dwustu tysięcy egzemplarzy, zaś narysował go nie kto inny, tylko Grzegorz Rosiński, twórca kultowych serii komiksowych, takich jak choćby *Kapitan Żbik*. Do czego ponad rok po mistrzostwach tego rodzaju absurdalna – i z dzisiejszego punktu widzenia po prostu śmieszna – narracja była potrzebna?

Kwestię rozjaśnia nieco zrealizowany w 1975 roku przez Janusza Kidawę film dokumentalny *Polska gola!*. Kidawa swój film zrealizował w duchu ironicznym, a nawet krytycznym. Ironia wyraża się zarówno w komentarzu, powierzonym bardzo świadomie Jackowi Fedorowiczowi, jak i w samym sposobie ułożenia pochodzących z tamtych mistrzostw kronikowych i reportażowych materiałów. Mocno upraszczając: konstrukcja tego filmu polega na tym, że najpierw pokazuje wspomniany wcześniej sceptycyzm naszego narodu, stopniowo narastającą euforię, jaka go ogarnia po pierwszych zwycięstwach, i zbiorowe szaleństwo trwające aż do końca mistrzostw i tuż po ich zakończeniu. To jednak nie triumfalny powrót „Orłów Górskiego”, legendarne już przywitanie przez kibiców na Okęciu oraz przejazd ulicami Warszawy kończy dzieło Kidawy. Zamykające film ujęcia to obrazy prasowych nagłówków, bardzo ostro krytykujących słabe występy naszych piłkarzy w rozpoczynających się kilka miesięcy po mundialu eliminacjach do mistrzostw Europy, zaś ostatni

kadr filmu to fragmenty przegranego przez naszą reprezentację meczu z Francją. W tle narastające gwizdy kibiców i komentarz Fedorowicza „Te gwizdy już słyszeliśmy przed odlotem na mistrzostwa. [...] Gdyby ktoś z państwa chciał zdobyć kiedyś jakiś medal, radzę się przedtem poważnie zastanowić”.

Ten krytycyzm, jak mi się wydaje, dowodzi nie tylko tego, że „krótka jest pamięć kibica”, ale w dużym stopniu potwierdza to, o czym pisali wcześniej Konwicki i Dygat. Jak pokazuje film Kidawy, społeczeństwo nadal tkwiło w paradygmacie przednowoczesnym, nie potrafiło równie „mądrze” oceniać rzeczywistości, pozbyć się tkwiących w nim mitów i kształtowanych przez nie postaw. Oczekiwano od reprezentacji, że niemal natychmiast po mistrzostwach stanie się światową, nie tylko futbolową potęgą. Wymownie te nadzieje i oczekiwania wyraził na łamach prasy już po meczu na Wembley Krzysztof Teodor Toeplitz, któremu, co symptomatyczne, nie udało się uciec od nacechowanych kolonialnie i akcentujących naszą normalną, niemal naturalną „gorszość”, porównań:

Stała się rzecz niezwykła, Polska, kraj rolniczy, wyeliminowała twórców tej dyscypliny z mistrzostw świata. W momentach, kiedy chcę być bardzo ironiczny, twierdzę, że następnym etapem będzie to, iż Mongołowie wygrają z Anglią w golfa. Widać w tym jakieś zachwianie się równowagi świata, w którym wyrosliśmy, w którym wiedzieliśmy, że Anglicy grają najlepiej w piłkę nożną, że tak musi być. Słowem, że istnieją pewne stałe wartości sportowe. [...] Sport, który jest bardzo czułym zwierciadłem życia w jakiś sposób odbija te zmiany. W moim przekonaniu zwycięstwo Polaków [...] jest faktem nie tylko sportowym, ale jest po prostu wydarzeniem jak gdyby w skali cywilizacji współczesnej. Przewartościowaniem się pewnych rzeczy („Sportowiec”, 30 X 1973).

Gdy tak się nie stało, gdy żadna cywilizacyjna zmiana nie nastąpiła, po przegranych eliminacjach do mistrzostw Europy i „jedynie” srebrnym medalu na olimpiadzie w Montrealu winą zaczęto obarczać właśnie, jak pokazuje Kidawa, niedostateczny heroizm naszych zawodników. Piłkarze zdradzili, zdaniem społeczeństwa, szlachetne ideały, które sport miał ustanawiać i przenosić w inne obszary rzeczywistości. Ich postawa i gra przestały ucieleśniać polski patriotyzm oraz wyjątkowość, i to zarówno w wymiarze historycznym, jak i na nowo zdefiniowanym przez ekipę rządzącą. To jego zmienione rozumienie najdobitniej zostało wyrażone przez I sekretarza w przemówieniu, wygłoszonym w 1976 roku:

[...] patriotyzm wyraża się w głębokim przywiązaniu do dokonań poprzednich pokoleń, do wszystkiego, co w naszych dziejach było postępowe, bohaterskie i twórcze. [...] To równocześnie codzienna praca i jej efekty, które powinny stać się podstawowym źródłem i głównym kryterium oceny postawy każdego obywatela (cyt. za: Zaremba, 2001, s. 372).

Za prolog do tych słów można jednak uważać osobliwe powitanie naszych piłkarzy przez Gierka podczas uroczystego spotkania po ich przylocie do kraju:

Chciałem naprawdę z całego serca podziękować wam za ten wspaniały prezent, jaki zgotowaliście naszej socjalistycznej ojczyźnie. Gratuluję wam tego wspaniałego zwycięstwa, a nam wszystkim gratuluję tych pięknych widowisk, które mieliśmy okazję oglądać. Byliście na ustach wszystkich Polaków i tych 34 milionów żyjących... na tej ziemi, i tych kilkunastu milionów Polaków żyjących poza granicami kraju. [...] Ja chciałbym Deynie, a poprzez niego Wam wszystkim podziękować towarzysze za skromność. Ta skromność pozwoliła Wam iść dalej, bo wiecie najgorszym nieszczęściem byłoby gdybyście uwierzyli, że jesteście tak mądrzy, tak mocni, tak niezwykcy, że przestalibyście się liczyć z tymi, z którymi gracie. Za to, żeście osiągnęli takie rezultaty, chciałbym Wam naprawdę, z całego serca podziękować i chciałbym życzyć naszej młodzieży, żeby tak samo wierzyła, że chcąc można osiągnąć cel, do którego się zmierza (cyt. za: Górski, 1975, s. 220).

Ta tak wyraźnie podkreślana skromność (zaskakująca, jeśli chodzi o skalę sukcesu i euforię, jaka towarzyszyła jeszcze powitanie piłkarzy na Okęciu) pokazuje nie tylko, że władza, być może przeczuwając przyszłe trudności, próbowała studzić rozbudzone aspiracje Polaków. Zestawiając te dwa przemówienia, można dostrzec, że Gierek chciał wpisać wyczyn naszych zawodników w swoiście rozumianą heroizację codziennego trudu, wysiłku i powszechnego poświęcenia, jakie było potrzebne do budowy „drugiej Polski”. Nie chodziło jednak tylko o prosto rozumianą „propagandę sukcesu”. Gierek i jego ekipa umieli zręcznie wykorzystać i połączyć, uwewnętrznione w naszym narodzie od co najmniej dwóch wieków, historyczne paradygmaty z dyskursem modernizacyjnym i „nowoczesnym”. Nie jest bowiem prawdą, że Gierek jednoznacznie odciął się od strategii rozbudzania uczuć nacjonalistycznych dla legitymizowania swoich rządów. Choć nie był to proces tak nachalny i zakrojony na tak szeroką skalę jak w przypadku jego bezpośredniego poprzednika, to, jak pokazuje Marcin Zaremba w pracy *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm*, wcale z pola świadomości władzy nie zniknął, lecz został swoiście zredefiniowany. Najlepszym tego przykładem jest odbudowanie Zamku Królewskiego w Warszawie. Zarówno ta decyzja, jak i jej uzasadnienie, to wyrazisty przykład scalania dyskursu bohaterskiego i postępowego:

Przez siedem stuleci Zamek Warszawski wznosił się dumnie nad wiślaną skarpą. Przez blisko pół tysiąca lat był świadkiem wielkich wydarzeń historycznych, symbolem więzi narodowej. To w murach jego najstarszej części Zygmunt August przygotował wielkie dzieło Unii Lubelskiej. Tu obradowały Sejmy Rzeczypospolitej. Tutaj zrodziła się myśl o Komisji Edukacji Narodowej – pierwszym w Europie ministerium powszechnej oświaty. W Zamku uchwalona została

wiekopomna Konstytucja 3 Maja, i tu mieściły się najwyższe władze Rzeczypospolitej. [...] Zamek dzielił losy narodu w dobrym i złym. Wszystkie najazdy, od Potopu szwedzkiego poczynając, przynosiły mu zniszczenie i ofiary. Podczas manifestacji narodowych ludu Warszawy przed Powstaniem Styczniowym, opodal zamkowych murów lała się polska krew (Zaremba, 2001, s. 359-360).

Umiejętność połączenia obu symbolicznych poziomów w kontekście opisywanego tutaj mundialu pokazuje, moim zdaniem, dwie rzeczy. Dyskurs narodowy wciąż był silnie zakorzeniony w społeczeństwie, łatwo na poziomie zbiorowych afektów i emocji świadomie oraz podświadomie się uruchamiał, co przyczyniło się, że wydarzenia końca lat sześćdziesiątych były wyłącznie odgórnie inspirowane przez władze, zaś społeczeństwo zdecydowanie dystansowało się od rozbudzonych resentymalnych narodowych mitów. Wzmacniała go dodatkowo, coraz silniej dochodząca do głosu, świadomość kolonialna, którą zarówno polityka „otwarcia na Zachód”, jak i sukcesy piłkarskie niewątpliwie uruchomiły. Tę wyższość wobec Innego, będącą w istocie próbą zamaskowania „gorszości”, widać już w przywoływanym wcześniej epitecie „czarniawi Haitańczycy” czy w estetycznej konwencji komiksu Rosińskiego, w którym „przeciwnicy mają [...] brzydkie twarze, wykrzywione grymasami i pełne zwierzęcej brutalności, a jeden Haitańczyk to dosłownie tak patrzy na Żmudę, jakby go chciał zabić i zjeść” (Barańczak, 2012, s. 44). Druga hipoteza brzmi: połączenie tych dwóch poziomów: narodowego i modernizacyjnego w latach siedemdziesiątych było, przynajmniej częściowo skuteczną, próbą takiego przededefiniowania obowiązującego społecznego imaginarium, które pozwoliłoby dowartościować ówczesną Polską „normalność” i uwierzyć w nią. Było kulturowym procesem, mającym na celu wypracowanie iluzji swojskości polskiej, narodowej drogi do nowoczesności, która – choć inna – wcale nie musi być gorsza od tej zachodniej.

Znowu analogią jest tutaj zarówno sposób prezentacji i gry naszych piłkarzy, jak i początkowo afirmatywny, a potem mocno krytyczny odbiór ich postawy. Jeśli bowiem przejrzeć „Trybunę Ludu” z okresu opisywanych tutaj mistrzostw, widoczne stanie się, że wzmianki o profesjonalizmie i nowoczesności gry naszych piłkarzy, „którzy są równie dojrzały jak najlepsze drużyny na świecie”, były równie częste, jak krytyczne uwagi na temat postawy „mocno przereklamowanych i faworyzowanych gwiazd” zachodniej, profesjonalnej piłki.

Najwyraźniej ujawnił to mecz z reprezentacją Włoch, wówczas ciągle wicemistrzów świata, których nasza drużyna pokonała 2:1 i wyeliminowała z imprezy już w pierwszej rundzie (co, oprócz późniejszego trzeciego miejsca naszej reprezentacji, było największą sensacją tamtych mistrzostw). W dwa dni po meczu ukazał się artykuł Daniela Lublińskiego, wymownie zatytułowany *Blednące gwiazdy*, krytykujący zagraniczny model komercjalizacji futbolu i starający się pokazać, że wysokie zarobki nie tylko nie wpływają pozytywnie na jakość gry, ale wręcz degenerują sport i pozbawiają go

wymiaru humanistycznej, szlachetnej, moralnej rywalizacji („Trybuna Ludu”, 22 VI 1974). Sukces polskich piłkarzy, przy podkreślaniu ich teoretycznego amatorstwa i gry jedynie z pobudek narodowych oraz patriotycznych wobec rzekomego „bezdusznego profesjonalizmu” zachodnich ekip, pozwalała na jakiś czas zamaskować naszą „niedoajomość”, odwrócić uwagę od trudności i niedoróbek wprowadzanej wówczas w naszym kraju modernizacji oraz jej kolonialnego charakteru. Co więcej, choć pracownicze etaty naszych sportowców amatorów były czystą fikcją, to jednak społeczeństwu dużo łatwiej było się dzięki temu utożsamiać z naszymi reprezentantami. Z tego powodu przedstawienia sportowe skuteczniej dawały się wpisywać w symboliczną gloryfikację trudności, z jakimi obywatela musieli się na co dzień zmagać w realiach komunistycznego systemu. Łatwiej było ich też przekonać, że problemy te są tylko przejściowe, a wolą, determinacją i narodowym poświęceniem można je przezwyciężyć, zupełnie jak uczynili to (dzięki szlachetnemu patriotyzmowi) nasi piłkarze. Wydaje mi się, że to właśnie było główną przyczyną powiązania w społecznym odbiorze słabszej gry naszych reprezentantów po mistrzostwach z ich wzrastającymi roszczeniami, afiszowaniem się kupowanymi za wypłacane w dolarach premie samochodami, głośno manifestowaną chęcią wyjazdu za granicę. Z punktu widzenia piłkarzy był to jednak proces całkiem naturalny, więc, prędzej czy później, musiał dojść do głosu. W trakcie mistrzostw zawodnicy poznali swoją wartość, rzeczywiście „dojrzały” do światowego, profesjonalnego poziomu i wiedzieli, że nie mogą osiągnąć pełni swoich możliwości w sporcie rządzonej przez reguły komunistycznego systemu: z przeciętnymi zarobkami, brakiem możliwości gry w najlepszych światowych klubach, stałej rywalizacji na poziomie, na jaki niewątpliwie było ich stać i jaki zapewniałby im szybki rozwój. Choć fakt, że nie tylko sportowi kibice w tamtym czasie nie potrafili tego dostrzec i obniżenie poziomu gry naszej reprezentacji wiązali ze zdradą narodowych ideałów, również świadczyło o naszych nieświadomie przeżywanych i rozbudzonych wówczas kompleksach i poczuciu niższości. Stopniowa zmiana tego stanu rzeczy, kiedy wstyd i wina spoczywająca na piłkarzach przerodziła się we wstręt do komunistycznej rzeczywistości i jej decydentów, ujawni się w pełni na „przeigranych” mistrzostwach w Argentynie cztery lata później – choć proces ten tylko tu sygnalizuję, gdyż jest to temat na osobny artykuł. Cytowany na początku Marek Bieńczyk miał więc rację co do ważnej funkcji tamtych mistrzostw dla dramatyzowania zarówno zbiorowej, jak i jednostkowej egzystencji ówczesnych Polaków, choć interpretacja tego wydarzenia, jak starałem się pokazać, powinna przybrać dużo bardziej złożony i krytyczny charakter. ■

Bibliografia:

- Barańczak, Stanisław, *Nie będzie Neeskens pluł nam w twarz*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 2012 nr 3-4.
 Bieńczyk, Marek, *Książka twarzy*, Świat Książki, Warszawa 2012.
 Dygat, Stanisław, *Kolonotatnik*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979.

Dygat, Stanisław; Holoubek, Gustaw; Konwicky, Tadeusz,
Przepraszamy za usterki, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”
2012 nr 3-4.

„Dziennik Polski”, 18 X 1973.

„Dziennik Polski”, 23 X 1973.

„Echo Krakowa”, 16 X 1973.

Głos w dyskusji, PKF 10A/71.

Górski, Kazimierz, *Z ławki trenera*, Wydawnictwo Sport
i Turystyka, Warszawa 1975.

Janicka, Elżbieta, *Festung Warschau*, Wydawnictwo Krytyki
Politycznej, Warszawa 2011.

Jaworska, Justyna, *Jak jeść spaghetti, czyli sockonsumeryzm
w kinie epoki wczesnego Gierka*, referat wygłoszony na konfe-
rencyj „Lata 70. jako źródło współczesności”, zorganizowanej
przez Krytykę Polityczną w Warszawie w dniach 22-23 paź-
dziernika 2015.

Kołtoń, Roman, *Deyna czyli obcy*, Zys i S-ka, Warszawa 2014.

Konwicky, Tadeusz, *Kalendarz i klepsydra*, Czytelnik,
Warszawa, 2005.

Kosiński, Dariusz, *Teatra polskie. Historie*, Wydawnictwo
PWN, Warszawa 2010.

MacAloon, John J., *Wstęp: widowiska kulturowe, teoria kultury*
[w:] *Rytuał, dramat, święto, spektakl. Wstęp do teorii widowi-
ska kulturowego*, red. tenże, przeł. K. Przyłuska-Urbanowicz,
Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

Pilch, Jerzy, *Narty Ojca Świętego*, Świat Książki,
Warszawa 2004.

Pod folią, PKF 10B/78.

Polska gola, film dokumentalny, reż. J. Kidawa, Telewizja
Polska 1975.

„Przegląd Sportowy”, 20-21 X 1973.

Rolicki, Janusz, *Edward Gierek. Życie i narodziny legendy*,
Iskry, Warszawa 2002.

„Sport”, 15 X 1973.

„Sportowiec” nr 43 (1196), 23 X 1973.

„Sportowiec”, 30 X 1973.

„Trybuna Ludu” 14 X 1973.

„Trybuna Ludu”, 22 VI 1974.

Zaorski, Janusz, *O piłkarskim pokerze i nie tylko*, [w:] *Futbol
w świecie sztuki*, red. J. Ciechowicz, W. Moska, Wydawnictwo
Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2012.

Zaremba, Marcin, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm.
Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej
w Polsce*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2001.
